

Daniel Easterman



Testament Judasza

Tytuł orygnału: *The Judas Testament*

©Daniel Easterman

© 2020 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-43-7

Wydawnictwo Espadon Publishing Sp. z o.o.
Warszawa

Książka powstała jako wspólne wydanie Wydawnictwa AiB
oraz Espadon Publishing Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Daniel Easterman

Testament Judasza

Przekład: Dariusz Bakalarz

ESPADON PUBLISHING
W A R S Z A W A 2 0 2 0

Od autora

Z tym nigdy nie jest łatwo, lecz na szczęście trud przetworzenia pomysłu w skończoną książkę rozkłada się na wielu ludzi. Na pierwszym miejscu listy za nieustającą pomoc, wsparcie i porady jak zwykle znajduje się moja cudowna żona – Beth. Moi wydawcy, trzy kobiety – Patricia Parkin z Londynu oraz Katie Tso i Karen Solen z Nowego Jorku – za pomocą swego magicznego dotyku tchnęły – mam nadzieję – życie w pierwszy szkic powieści. Mary-Rose Doherty wygładziła wszelkie chropowatości. Mój agent, Jeffrey Simmons, zapewnił scenom należyłą siłę oddziaływania (specjalne słowa podzięki kieruję do jego matki, Jane, za cenne uwagi poczynione w tekście).

Składam też serdeczne podziękowania Colleen Cairns za wkład w zdobywanie materiałów i za spełnianie szalonych czasem próśb; Roderickowi Richardsowi z Tracking Line za informacje na temat policji; Igorowi Kisenowi i Kati Wik z Moskwy za ogromną skrupulatność w ustalaniu szczegółów, a Barry’emu Martinowi z Russia House Ltd za to, że im to umożliwił; Alanowi Robinsonowi dziękuję za nieocenioną pomoc w ustalaniu spraw związanych z wywiadem; Clare Robertson-McIsaac – za ułożenie jakże zachwycających programów koncertów; Regowi Gillovi, naczelnikowi cmentarza Wembly’s, który zawsze, i na zawołanie służył mi pomocą; także mojej teściowej Nancy wspomagającej mnie w tym, żeby wszystko szło gładko.

Czuję się też zobowiązany wyrazić wdzięczność za dług zaciągnięty wobec różnych autorów, w których dziełach odkryłem opisy różnych interesujących mnie wydarzeń i znalazłem materiały do tej książki. W szczególności dotyczy to Marka Aaronsa i Johna Loftusa, których studium na temat udziału Watykanu w pomocy nazistowskiemu uchodźcom, noszącym tytuł „Ratlines”, odsłania jeden z najbardziej ponurych epizodów w najnowszej historii Europy. Mam nadzieję, że przeczytanie tej powieści pobudzi chociaż niektórych czytelników do zrewidowania swego zaufania do niektórych powojennych przywódców duchownych i politycznych, zarówno w Europie, jak i Stanach Zjednoczonych. Mam wreszcie nadzieję, że dzięki wymienionym i nie wymienionym tu autorom prawda ujrzy nareszcie światło dzienne. To smutne stwierdzenie, lecz na kartach tej książki fikcja literacka znajduje uwiarygodnienie w faktach częściej, niżbyśmy sobie życzyli.

Prolog

Berlin, pod radziecką okupacją, czerwiec 1945

Światło nad głowami zamrugało i zgasło. Chwilę potem zaczął swą pracę stojący z tyłu sali projektor. Na pustym ekranie migają cyfry, a potem, wraz z wypełniającą salę muzyką, miejsce liczb zajął rysunek swastyki. Po swastyce przyszła kolej na sylwetkę niemieckiego orła oraz pojedyncze słowo WOCHENSCHAU.

Potem były sztandary z tym samym orłem ściskającym w szponach swastykę, a poniżej kwadratowa flaga z inną swastyką, pod którą widniały słowa DEUTSCHLAND ERWACHE. Odgłos marszowych kroków. Twarz Adolfa Hitlera, jego zaciśnięte usta bez uśmiechu, po czym ujęcie panoramiczne ukazujące wodza na wysokiej trybunie pod rozpostartymi skrzydłami gigantycznego orła. Odbывał się właśnie marsz parady oddziałów szturmowych. Zmiana kąta widzenia kamery i na ekranie pojawiły się przemierzające niebo myśliwce – charakterystyczne sylwetki Messerschmittów ME 262, a po nich ME 163 z cofniętymi skrzydłami. Większość mężczyzn zgromadzonych na widowni nigdy nie widziała żadnego z tych samolotów w akcji, choć wielu z nich oglądało szkice prototypów.

Na ekranie znów pojawiła się twarz *Führera*. Spojrzenie zwycięzcy pełne było niewysłowionego zachwytu. Kamera cofa się powoli, powoli, widać rękę wyciągniętą w *Hitlergrüß*, kamera nadal się cofa, w kadrze pokazuje się trybuna i budynek, na którego tle została wzniesiona. Po widowni przeszedł szmer, a spokój przywrócił dopiero wykrzyknęty do widzów rozkaz. Co do budynku na ekranie nie sposób było się pomylić – Buckingham Palace. To z pewnością niemożliwe. Film jednak wyraźnie przedstawiał niemieckich żołnierzy, niemieckie czołgi i niemieckie transportowce opancerzone posuwające się w paradymszym szyku po Mall i skręcające za trybuną ku Constitution Hill.

Po obu stronach Mall przygnębieni ludzie podnosili ręce w hitlerowskim pozdrowieniu. Stali w milczeniu, ze spuszczonej głowami, skuleni, a na ich twarzach malowało się poczucie klęski.

Nagle muzyka ucichła i odezwał się głos. Nie po niemiecku – jak spodziewali się obecni tu ludzie – lecz po angielsku. Usłyszeli napuszony głos spikera, którego znali i z którego śmiali się u siebie w domu – należał do Williama Joyce'a, zdrajcy, którego „Daily Express” przezwał kiedyś „Lordem Hau-Hau”.

– Wczoraj rano o godzinie dziewiątej brytyjski premier Winston Churchill podpisał oficjalny akt kapitulacji wobec zwycięskich sił Rzeszy Niemieckiej, i w ten sposób przedłużająca się w Europie wojna dobiegła końca. Pokonane na wszystkich frontach, zdziesiątkowane armie byłego Imperium Brytyjskiego złożyły wreszcie broń po długich i daremnych starciach z górującymi nad nią siłą i intelektem wojskami niemieckimi, starciach, w których za zacierzwienie i megalomanię przywódców zapłacił życiem miliony młodych ludzi. Wojsko, sprzęt oraz niskie morale nie było w stanie stawić czoła niemieckiej wytrzymałości i wyszkoleniu. Brytyjcy cywile nie potrafili przetrzymać ataku nowych broni rozmieszczonych na francuskim wybrzeżu.

Po tych słowach na ekranie pojawił się obraz ukazujący siedzących przy długim stole pokrytym zielonym suknem mężczyzn w garniturach i wojskowych mundurach podpisujących dokumenty.

– Nasz ukochany *Führer*, Adolf Hitler, przybył do Londynu, aby odebrać akt kapitulacji z rąk premiera i jego ministrów. Widzimy oto naszego niepokonanego zdobywcę Europy, *Führera* Tysiącletniej Rzeszy w gmachu przy Downing Street.

Uśmiechnięta twarz Hitlera. Churchill z twarzą surową, bez uśmiechu. Przy podpisywaniu dokumentu lekko trzęsła mu się ręka. Hitler natomiast, gdy mu podsunęto dokument, złożył na nim lekki, zamaszty podpis. Znowu twarz Churchilla ze ściągniętymi brwiami.

Wygląda na strapionego. I tak być powinno. On wie, że gra jest skończona. Już niedługo generał Guderian, nowy dowódca wojsk brytyjskich, wyda rozkaz wszczęcia w Coventry pierwszego z długiej serii procesów o zbrodnie wojenne. Wszyscy oni wiedzą, że spotka ich zasłużona kara. Churchill, Harris, Montgomery, Portal – cała pożałowania godna banda. To ci ludzie przez sześć długich lat uprawiali terror i szerzyli propagandę, wskutek której doprowadzili wreszcie do upadku Anglii oraz przytłaczającej części Europy. Z pewnością trafią za to do więzienia.

Nie dojdzie jednak do linczów. Po raz pierwszy w swej historii Wielka Brytania pozna smak sprawiedliwości. Niemieckiej sprawiedliwości. Koniec z zadzieraniem nosa, koniec z koteriami, przywilejami, płaszczeniem się i nadszakiwaniem. Jak Europa długa i szeroka, wieje w niej nowy wiatr, a imię jego Sprawiedliwość Dla Wszystkich. O to właśnie toczyła się wojna. Niemiecki porządek i niemiecki system wymiaru sprawiedliwości, będący dumą Rzeszy, dociera obecnie do wybrzeży Anglii. Rzesza wyznaczy sędziów – ludzi prawych i uczciwych, ludzi nieustraszonych, którzy nie siedzą w kieszeni utytułowanych milordów ani Żydów z wypchanymi portfelami.

Na ekranie pojawiły się zdjęcia z niemieckich procesów, toczących się w przestronnych salach sądowych, gdzie nad głowami sędziów wisiały posępne orły i swastyki. Wstrząśnięta widownia trwała w milczeniu i bezruchu.

Gdy *Führer* wprowadził generała Guderiana na Downing Street, udał się do Pałacu Buckingham na audiencję do króla Edwarda i jego małżonki, królowej Wallis, którzy poprzedniego dnia powrócili z Wysp Bahama gotowi do podjęcia swoich nowych zajęć. Para królewska ma rozpromienione twarze i przyjmuje zdobywcę swego kraju z uśmiechem, jak starego przyjaciela i wyzwoliciecia ich ludu.

Scenka przedstawiająca księcia i księżnę Windsoru stojących na balkonie i machających do poddanych. Potem obrót kamery w prawo i ujęcie, ukazujące Hitlera stojącego koło nich i nie machającego ręką, lecz obserwującego.

– Oczywiście, Żydom to się nie spodoba. Oni zrobią wszystko, żeby ocalić swoją nędną skórę. To oni stali w 1936 roku za spiskiem Baldwina, który doprowadził do abdykacji króla. To oni są odpowiedzialni za popchnięcie Anglii do wojny, w której nigdy nie miała szans na zwycięstwo. Niemcy wyciągali rękę do zgody, ale syjoniści i Rothschildowie odtrącali ją. Zamiast łączyć swe siły w walce ze wspólnym wrogiem – zmasowanymi siłami stalinowskiej Rosji i komórkami czerwonych spiskowców w swych własnych miastach – Wielka Brytania oraz Niemcy złożyły w ofierze kwiat swojej młodzieży w bezsensownej wojnie. My, Niemcy, wiemy, jak obchodzić się z Żydami. Już niedługo i Wielka Brytania pozbędzie się tego wielowiekowego ciężaru. Lecz tym razem Żydzi już nie powrócą.

Końcowej części wypowiedzi towarzyszyły zdjęcia płonących synagog i Żydów gonionych po ulicach przez oddziały SS. W jednej ze scen bezceremonialnie zerwano brytyjską flagę znad wejścia do synagogi.

– Po lunchu w Pałacu nasz ukochany *Führer* pojechał do Shipton w Oksfordshire, gdzie serdecznie przyjęli go sir Oswald i lady Diana Mosley. Po zwolnieniu z internowania w 1940 roku sir Oswald znajdował się pod stałą obserwacją brytyjskich służb bezpieczeństwa. *Führer* poprosił go o objęcie stanowiska premiera do czasu, kiedy będzie możliwe przeprowadzenie wyborów, podczas których *Führer* spodziewa się, że partia sir Oswalda – Brytyjska Unia Faszystowska zwycięży przez aklamację.

Sekwencja przedstawiała Hitlera śmiejącego do kamery i ściskającego dłoń sir Oswaldowi.

Nagle na ekranie ukazał się waszyngtoński Kapitol w pochmurny dzień.

– Tymczasem w Waszyngtonie były niemiecki chargé d'affaires, Hans Thomsen, został wezwany na rozmowę przez sekretarza stanu, Edwarda Stettinius. Przypuszcza się, iż rano uda się on do Białego Domu na spotkanie z prezydentem Trumanem w sprawie rozpoczęcia negocjacji na temat oficjalnego pojednania Niemiec i Stanów Zjednoczonych. Źródła dyplomatyczne wyrażają opinię, iż prezydent planuje na jesień oficjalną wizytę w Berlinie.

Na ekranie pojawiły się dwie flagi – niemiecka i amerykańska. Znowu zmiana scenerii. Tym razem słoneczny dzień i ogromna kopuła kościoła. Po chwili w kadrze pojawił się wypełniony pielgrzymami plac Świętego Piotra.

– Rzym. Jego Świątobliwość papież Pius XII pogratulował *Führerowi* ostatecznego zwycięstwa.

Film przeniósł się do wnętrza Watykanu. Pius XII z uśmiechem potrząsa dłonią Hitlera.

– W minionym tygodniu na spotkaniu watykańskich dostojników z nowym panem Europy podpisano nowy konkordat, który zastąpi dokument z 1933 roku. Na spotkaniu tym papież zadeklarował gotowość uznania zaistniałych od początku wojny zmian na mapie politycznej Europy. W zamian za to ponownie powołany faszystowski rząd Pietro Badoglio zadeklarował gotowość uznania postanowień soboru laterańskiego oraz że będzie utrzymywał specjalne stosunki z Państwem Watykan.

Joyce przerwał na chwilę, a potem podsumował triumfalnym głosem:

– Ludu Wielkiej Brytanii! Po długiej nocy nadszedł brzask. Ramię w ramię z niemieckimi siostrami i braćmi stajecie u progu nowej, wspaniałej ery. Pokój, wolność, sprawiedliwość zajmą miejsce dotychczasowej tyranii. Pod znakiem swastyki zjednoczona Europa bezwzględnie stawi czoło hordom podludzi ruszających do boju ze stepów komunistycznej Rosji. Wspólnymi siłami przekujemy powszechnie doznawane cierpienia na promienną przyszłość należną rasie aryjskiej.

Znowu zabrzmiała muzyka, towarzysząc tym razem scenom przedstawiającym maszerujących żołnierzy z połyskującymi w słońcu flagami i insygniami SS. Ostatnie zdjęcie przedstawiało widok na Parlament, gdzie majestatycznie powiewała na porywistym wietrze zatknięta na Wieży Wiktorii biało-czerwono-czarna flaga Trzeciej Rzeszy.

– *Lichter!*

Ekran wygasł. U góry znów zapłonęły światła. Nad salą zalegała cisza. Na po-
ustawianych z wojskową precyzją dziewięciu rzędach metalowych krzeseł siedzia-
ło około stu mężczyzn. Żaden z nich nie poruszył się, żaden nie powiedział ani
słowa. Jeden tłumił w gardle kaszel.

Wszyscy mieli wygolone głowy. Na ich wymizerowanych twarzach malowało się
zmęczenie i ból. Pod luźnymi szarymi uniformami jeńców wojennych można było
dostrzec chude, zmarniałe ciała.

Sala znajdowała się głęboko pod ziemią. Była niska, miała dwadzieścia metrów
długości i osiem szerokości. Zza ściany słychać było warkot generatora. Oprócz te-
go rozlegał się jeszcze jeden monotonny dźwięk przemysłnie skonstruowanego
systemu wentylacyjnego, uniemożliwiającego dostrzeżenie z powierzchni ziemi
całego kompleksu, w którego skład wchodziła sala, oraz zapewniającego dopływ
do wewnątrz wystarczającej ilości świeżego powietrza.

Wszystkie cztery ściany pokryte były czarnym materiałem, a pośrodku każdej
z nich wisiał długi krwistoczerwony sztandar, sięgający od sufitu do podłogi. Na
każdym sztandarze w białym kółku widniała swastyka. Na powierzchni, pięćdzie-
siąt metrów nad kompleksem, rosyjscy żołnierze takie same sztandary zrywali
z drzewców i palili. Na dole Rosjan nie było. Na dole jedyni obecni żołnierze mie-
li na sobie czarne mundury Waffen-SS.

Wokół sali, plecami do ścian, stali strażnicy SS. Każdy trzymał przed sobą broń.

Przed mężczyznami o wygolonych głowach zajął miejsce niemiecki oficer.
Srebrny pleciony naramiennik zdradzał Standartenführera SS. Na prawym prze-
dramieniu naszyty był mały romb literkami SD – skrót od Sicherheitsdienst, Służ-
by Bezpieczeństwa Rzeszy. Był człowiekiem młodym jak na taki stopień; ukończył
Vogelsang Ordensburg i pod koniec wojny, po śmierci swego bezpośredniego
zwierzchnika, został awansowany. Nie zdradzał najmniejszych oznak zdenerwo-
wania. Wyczyszczone do połysku buty i błyszczący sztylet SS oraz czarna czapka
z trupa czaszką pasowały do rozwieszonych na ścianach paradnych sztandarów.

Świeżo pokazany właśnie film odniósł spodziewany skutek – pracowało nad
nim wiele osób. Ludzie siedzący przed oficerem nie tylko popadli w osłupienie –
byli wręcz zdruzgotani. Wszystko w co wierzyli, wszystko, co ich trzymało przy
życiu – niektórych już trzy lub cztery lata – w więzieniach gestapo i aresztach śled-
czych SD, wszystko, w czym pokładali nadzieje, w ciągu kilku minut legło w gru-
zach.

– Panowie – zaczął oficer angielszczyzną z lekkim cudzoziemskim akcentem. –
Przypuszczam, że wiadomości z tego tygodnia okazały się bardziej interesujące
niż zazwyczaj. Zaraz powrócicie do swoich cel. Każdy z was otrzyma egzemplarz
dzisiejszego wydania londyńskiego „Timesa”. Przeczytacie artykuł omawiający wa-
runki brytyjskiej kapitulacji oraz zapoznanie się z wydarzeniami bezpośrednio po-
przedzającymi to wydarzenie. Bez pośpiechu będziecie mogli sobie wszystko
przemysśleć.

– Przedtem jednak pozwólcie, że przedstawię się. Nazywam się Standarten-
führer SS Kletmann. Zostałem nowym komendantem tego więzienia i znajduję-
cie się teraz pod moją jurysdykcją. Zauważyłem, że mój poprzednik Obersturm-
bannführer Grossmann dopuścił do rozluźnienia dyscypliny. Sytuacja taka dalej
trwać nie może. Obersturm-bannführer Grossmanna został wydany ze służby.
Od dziś będziecie mieć do czynienia ze mną.

– Zamierzam przestrzegać regulaminu. Wszelkie odstępstwa od dyscypliny będą surowo karane. Każda próba ucieczki zostanie ukarana śmiercią niedoszłego uciekiniera oraz jeszcze jednego z was. Ucieczka jest bez szans. Powinniście wiedzieć, że w tym miejscu działa najszczelniejszy w całej Rzeszy system zabezpieczeń.

– Po przeczytaniu gazety radzę gruntownie zastanowić się nad swoją osobistą sytuacją. Nie liczcie, że Niemcy pozostawią jakkolwiek zbrodnię bez kary. Powstające właśnie trybunały, które będą sądzić zbrodnie wojenne, nie oszczędzą tych, co doprowadzili do brytyjskiej agresji przeciwko Niemcom. Oczywiście, sprawiedliwość dotknie przede wszystkim Churchilla i jego stronników, ale nie spoczniemy, póki ostatni ze zbrodniarzy nie stanie przed obliczem prawa. Najpierw jednak trzeba będzie znaleźć odpowiedź na wiele pytań. Trzeba będzie wydobyć na światło dzienne wszelkie popełnione przez Brytyjczyków zbrodnie. Możecie jednak być spokojni – nie będziemy szczędzić wysiłków w celu ujawnienia przestępstw i ukarania winnych.

– Co do waszej winy nie może być żadnych wątpliwości. Wszyscy zostaliście aresztowani na niemieckiej ziemi lub na terenach administrowanych przez Niemiecką Rzeszę. Jeszcze dzisiaj oczekujecie wizyt adwokatów, których zadaniem będzie przygotować was do procesu. W stosownym czasie zostaną wam przydzieleni obrońcy. Za kilka dni otrzymacie pisemne instrukcje od władz brytyjskich z prośbą o wyświetlenie różnych spraw.

– Godna najwyższej pochwały jest wasza wytrwałość w odmawianiu podania szczegółów dotyczących pełnionych misji. Podziwiam waszą odwagę. W innych okolicznościach z pewnością zostalibyście odznaczani orderami. Wojna jednak dobiegła końca, a wasz kraj poniósł klęskę w uczciwej, otwartej walce. Spoczywa teraz na was obowiązek współpracy z siłami porządku i prawa w celu odszukania winnych i uwolnienia od podejrzeń niewinnych.

Komendant przerwał.

– Przestaliście już podlegać rozkazom swoich dowódców. Mam nadzieję, iż wszyscy wykażecie wolę współpracy. Leży to w waszym najlepiej rozumianym interesie.

Otworzyły się drzwi prowadzące na korytarz. Na dany znak wstał pierwszy rząd. Wychodzący z sali starali się unikać spojrzeń swych towarzyszy-więźniów. Wielu otwarcie płakało.

– Boże dopomóż – odezwał się ktoś po cichu.

Paryż, czerwiec 1979

Letnia nawałnica turystów to dla Paryża najgorszy okres w roku. Kawiarnie przy bulwarze St. Germain pełne są nieokrzesanych młodych Amerykanów i obieżyświatów z Australii. Widać ich wszędzie, jak puszą się przed całym światem, starając się wyrzucić na przechodniach wrażenie, że są urodzonymi Paryżanami, którzy mają już dość „Ricarda” i „Amer Piconu”, i że co dzień, przez okrągły rok, siedzą zawsze na tych samych krzesłach i zawsze przy tych samych stolikach.

Wysiadują rozparci w „Ax Deux Magots” i „Café de Flore”, z gitanami przylepionymi do ust, demonstrując na obolałych od chodzenia nogach mięciutkie moka-syny od Gucciego. Siłą się na obojętność, ale kiedy w duchu porównują Des Moines w Iowa, zadziwieni są marnością swego własnego dziedzictwa. Do nich Paryż należy tylko przez pewien krótki czas, więc dniami i nocami ganiają po mieście, aby zaznać wszystkich jego blasków i cieni oraz nacieszyć się długą, letnią samotnością.

Jack Gould w swojej naiwności nigdy by tego nie odgadł, chyba że podsłuchiwałby jakąś prowadzoną po angielsku rozmowę. Nigdy nie włóczył się po mieście. Nie przychodził do pobliskich kafejek, ażeby się pokazać lub żeby obserwować innych. Szczerze mówiąc, ledwie zauważał, co się dokoła niego dzieje. Pijąc drobnymi łyżkami małą kawę, oddawał się lekturze leżącej na kolanach książki – pierwszego tomu „Historii Żydów w Babilonii” Neusnera.

Mimo że miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, już wyrobił sobie swój „styl”. Nosił tweedową, całkowicie nie pasującą do ślicznej pogody marynarkę ze skórkowymi łałami na łokciach, rozpiętą pod szyją białą koszulę i ciemnozielone sztruksowe spodnie z wytartym siedzeniem. Kiedy miał na tytoń, palił krótką fajkę. Włosy zmierzwił, a na nosie okulary w drucianej, sklejaney taśmą oprawce. Łatwo było przeoczyć fakt, że pod tą powierzchownością krył się młodzieniec równie przystojny jak ci nudzący się na tarasach pozerzy w skórzanych kurtkach.

Skromna kafejka znajdowała się przy ulicy Chabanais, pół kwartału od Biblioteki Narodowej. Jack przychodził tutaj raz rano, a drugi raz po południu, żeby zrobić sobie krótką przerwę w bibliotecznych poszukiwaniach. Nie mógł sobie pozwolić na porządny lunch, dlatego też kupował zazwyczaj chleb oraz kozi ser i butelkę Badoit, zjadał to wszystko w pobliskim Jardin du Palais Royal. Poranna i popołudniowa kawa – bardzo czarna i mocno słodzona – podkreślała go do codziennej pracy nad starożytnymi tekstami. Doktorat, nad którym pracował pt. „Astrologiczne przepowiednie w Dokumencie Damasceńskim, zwojach z Qumran i Florilegia” – przywiódł go do Paryża wbrew jego woli. Drugi rok pisał go w Studium Hebrajskim przy Trinity College w Dublinie i doskonale mu się pracowało tam lub w bibliotece im. Chestera Beatty w Ballsbridge. Nie lubił Biblioteki Narodowej i panującej tu biurokracji, nie znosił mówić po francusku (słabo mu to szło) i, prawdę mówiąc, skręcało go z zazdrości na widok tłumu ludzi doskonale bawiących się w tym mieście. Jack Gould był uzdolnionym filologiem. Potrafił odszyfrować sens fragmentu hebrajskiego dokumentu czy też poskładać ze sobą w logiczną całość kawałki aramejskiego manuskryptu z pierwszego wieku z taką łatwością, z jaką innym ludziom przychodziło wyznaczenie na trawniku rogów boiska do piłki noż-

nej. Nauczyciele nie szczędzili mu pochwał. Nikt nie wątpił, że jego praca doktorska będzie najlepsza ze wszystkich, które pisane są aktualnie na ten temat. Jednak jako człowiek Jack był tym, co się określa jako jedno wielkie nieszczęście. W dodatku – choć się do tego nie przyznawał – był też dwudziestodwuletnim prawnikiem.

Prawie nie zauważył, że ktoś przysiadł się do jego stolika. Kafejka była mała i stale było w niej pełno. Nie oderwał więc wzroku od czytanej książki.

– Jack Gould? Prawda?

Naprzeciwko niego siedziała młoda dziewczyna. Blondynka w jasnoniebieskim podkoszulku. Uśmiechnęła się jak stara znajoma, choć on jej nie poznawał. A zresztą, może...

– *Je m'excuse mais...*

– O, to wcale niepotrzebne. Możemy się obejść bez mówienia po francusku.

Jej irlandzki akcent nie był zbyt silny, ale wystarczyło, aby zorientować się, skąd dziewczyna pochodzi. Przeczesała pamięć, Jack starał się odnaleźć jej twarz gdzieś w przeszłości.

– Bardzo mi przykro, panno...

– Ty mnie nie kojarzysz, ale ja ciebie znam z widzenia. Nazywam się Caitlin. Caitlin Nualan. Jestem na drugim roku Studium Języków Semickich w Trinity. W zeszłym roku miałeś u nas seminarium z Księgi Ezechiela. Siedziałam w tylnym rzędzie. Pewnie mnie nie pamiętasz.

– A, no jasne... – przerwał i pokręcił głową. – Przykro mi, ale nie pamiętałem.

– Byłeś wtedy bardzo zapracowany. – Zawahała się. – Nie wiedziałam, że jesteś w Paryżu.

W tym momencie nadszedł kelner. Caitlin odwróciła się i odezwała się, jak się Jackowi zdawało, doskonałą francuszczyzną.

– *Un café crème, s'il vous plaît.*

Spojrzała na pustą do połowy filiżankę Jacka.

– Wypijesz jeszcze jedną?

Pokręcił głową i spojrzał na zegarek.

– Przepraszam... – powiedział – Ja... ja już muszę iść. Zbieram materiały w bibliotece.

Wstając od stołu, rzucił na blat kilka drobnych monet.

– Miło było cię spotkać – powiedział. – Mam nadzieję, że Paryż ci się podoba.

Gdy następnego ranka, tuż po jedenastej, wchodził do kafejki, dziewczyna już na niego czekała. Siedziała przy tym samym stoliku, jakby wcale się od niego nie ruszała. Włosy miała upięte z tyłu, a na sobie jasną dżinsową kurtkę narzuconą na nowy podkoszulek. Tym razem różowy. Gdy Jack wszedł do środka, podniosła coś ze stołu i pomachała do niego.

– Wczoraj zostawiłeś – odezwała się.

Był to egzemplarz Neusnera, nad którym mijał mu zwykle czas przy kawie.

– Dziękuję – bąknął sięgając po książkę, ale dziewczyna mu jej nie podała.

– Przeglądałam ją wczoraj wieczorem – powiedziała. – Paryż, środek lata, a ty trawisz czas nad taką cegłą?

Nic nie odpowiedział.

– Napijesz się kawy? – zapytała.

Pokręcił głową. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek jakaś kobieta rozmawiała z nim w ten sposób. Mimo wszystko zauważył, że jest całkiem ładna. Piękno wprawiało go w zakłopotanie. Nie można było go rozłożyć tak jak hebrajskiej poezji, nie było tu koniugacji ani deklinacji, i nie można było wyznaczyć paradygmatu. Czuł się z tym niepewnie, jak ze wszystkim, nad czym nie dało się zapanować.

– Nie mów, że przed lunchem czytujesz taką książkę – powiedziała.

– Nie... To znaczy... – Widać było, że powoli godzi się z losem. – Chyba jednak napiję się kawy.

Przywołała gestem kelnera, który pojawił się nie wiadomo skąd. Jack zachwycił się jej obyciem, jej pewnością siebie. Zamówiła kawę, a potem odwróciła się do niego.

– Siadaj, na miłość boską. Siadaj i opowiedz o sobie.

Usiadł i tak się zaczęło.

Szło jej z nim ciężko. Przyznała się do tego po tym, jak pierwszy raz poszli do łóżka. Ale nawet wtedy wiedziała, że najgorsze jeszcze przed nią. Owszem, Paryż okazał się pomocny. Najbardziej odizolowany od świata naukowiec nie potrafiłby się oprzeć urokowi tego miasta. Zabierała Jacka wszędzie, do wszystkich miejsc wymienianych w przewodnikach turystycznych. Neusnera schowała przed nim u siebie w pokoju. Trzeciego dnia przestał prosić o zwrot książki. Pod koniec spędzonego razem tygodnia zupełnie o książce zapomniał. Dziewczyna zmieniła go całkowicie.

Powoli dochodziło do jego świadomości, że się zakochał. Nigdy dotąd nie znał takiego uczucia, nigdy nie odczuwał jego potrzeby. Tak jak nad pięknem, tak i nad tym uczuciem nie mógł zapanować. Był jak ktoś, kto po długotrwałym śnie budzi się stopniowo i słyszy, jakby z oddali kochającym głosem wypowiedane swoje imię. I kto po przebudzeniu dostrzega, że głos wcale nie dobiega z daleka, a ukochna osoba cały czas wpatruje się w niego z niepokojem.

Caitlin stała się jego oczami i uszami, aż do czasu, gdy ponownie nauczył się posługiwać swoimi. Ona należała do jego świata tylko częściowo i jakby dla rozrywki, a kiedy tylko chciał poruszyć temat dotyczący swej pracy, odmawiała. Po pierwszych próbach doszedł do wniosku, że jej uniki niecierpliwią go bardziej niż sam brak rozmów o interesujących go sprawach. I tak stopniowo to ona jego wciągnęła w swój świat.

W pierwszym tygodniu nakłoniła go do przeistoczenia się w turystę. Zaczął codziennie przychodzić do kawiarni o dziewiątej i zastawał tam Caitlin czekającą na niego z kawą oraz bułeczkami. Po śniadaniu szli podziwiać rozliczne widoki przez miasto – katedrę Notre-Dame, Łuk Triumfalny, wieżę Eiffla, Sainte-Chapelle, Luwr. Był jak dziecko odkrywające nagle, że świat to coś więcej niż tylko cztery ściany pokoiku. Potykał się często, ale ona zawsze podnosiła go, otrzepywała z kurzu i prowadziła w nowe miejsce. Szybko zrozumiała, że najważniejsze to trzymać go możliwie najdalej od biblioteki. Oderwany od swych indeksów i papirusów, był

jak nie zapisana karta. W drugim tygodniu zaprzestali zwiedzania miasta. Zabierała go teraz do małych barów oraz kawiarni, gdzie nie przychodzą turyści, i całe godziny spędzali tam na rozmowach. Po raz pierwszy odczuł wtedy, że ktoś może nim być tak głęboko zainteresowany – nie z powodu tego, co wie i umie, ale tego kim jest. Spostrzegł, że opowiedział jej o Jacku Gouldzie rzeczy, których jego nauczyciele nigdy się nie dowiedzieli.

– Mój ojciec jest Żydem, a matka katoliczką – powiedział.

– A ty?

Wzruszył ramionami.

– Po prostu sobą. Cokolwiek miałyby to znaczyć.

O nim chciała wiedzieć dużo, o sobie opowiadała niewiele. Powiedziała, że przed dziesięć laty umarli jej rodzice, jedno w osiem miesięcy po drugim – ojciec na raka, a matka ze smutku. Leżą pochowani na londyńskim cmentarzu Paddington w pobliżu miejsca, gdzie dorastała. Na jego pytanie, czy żyją jacyś jej krewni, odparła, że nie ma nikogo bliskiego. Kilka cioć, wujków i koniec – niewiele miała z nimi wspólnego i nie widziała ich od lat. Uszanował jej powściągliwość i nie drążył dalej tematu.

Miała już mężczyzn w swoim życiu i nie robiła z tego tajemnicy. Caitlin i Jack nie byli jeszcze wtedy kochankami, ale mimo to ogarnęła go szaleńcza zazdrość, że byli przed nim, choćby na krótko, inni.

Pewnego wieczoru wybrali się do maleńkiego kina nieopodal bulwaru St Germain na film Louisa Malle'a pod tytułem „Lacombe Lucien”. Śledzenie dialogów sprawiało mu trudność, ale ona od czasu do czasu nachylała mu się do ucha i szeptała, co się dzieje. Historia dotyczyła młodego francuskiego robotnika, który podczas niemieckiej okupacji kolaborował z nazistami. Jack z trudem rozumiał, o co chodzi. Wystarczyło mu, że Caitlin często nachylała się, szepcząc mu do ucha.

Po wyjściu z kina dziewczyna była bardzo poruszona. Nigdy nie widział jej w takim stanie i zastanawiał się, co ją tak wytrąciło z równowagi.

– Co się stało? – zapytał.

Nie odpowiedziała. Milczała przez długi czas. Mijali ich rozgadani, żywo gestykulujący ludzie, a ona nie zwracała na nic uwagi. Oparła się plecami o ścianę.

– O co chodzi? – zapytał.

– Podejdź bliżej – powiedziała.

Nie wiedział, co robić.

– Podejdź.

Stał blisko niej, bardzo blisko, bliżej niż przy jakiegokolwiek innej kobiecie. Wyciągnęła ręce i przytuliła go do siebie. Pocałowała go. Jej twarz zalewały łzy, czuł na języku słony smak. Tej nocy zostali kochankami. Nigdy jednak nie powiedziała mu, z jakiego lub z czyjego powodu wtedy płakała. Nie pytał.

Po kilku dniach wiedzieli, że nie ma już odwrotu. Na początku września postanowili się pobrać. Po krótkiej ceremonii w konsulacie irlandzkim poszli na kolację do niewielkiej restauracji na Lewym Brzegu. Napisał o ślubie do swych rodziców. Matka odpisała, że czuje się zawiedziona, że nie zaprosił rodziców na ślub, na co

on wysłał długi list wyjaśniający, co się stało, i dołączył do niego fotografię Caitlin. Matka nawet nie przypuszczała, że Jack może być taki szczęśliwy. W dodatku wysłał jeszcze drugą fotografię w jednym z ubrań, które kupował razem z Caitlin. Nie rozpoznalby go w nim nikt ze starych znajomych.

Każdego dnia pracował trochę w bibliotece, ale wyglądało na to, że zapal przeszedł mu na dobre. Nauczył się czekać na wczesne popołudnie, kiedy to przychodziła pora na zgarnięcie papierów i wyjście na światło dzienne. Caitlin czekała zawsze w kafejce na Chabanais przy tym samym stoliku co zwykle, z dwiema filiżankami kawy i dwoma talerzykami tartinek. Chwilę zwykle pili i rozmawiali, a potem jechali do swego mieszkania na Marais i się kochali. Przez całe lato ani na chwilę nie przechodziła im namiętność.

Wróciwszy do domu po ślubie, zastali mieszkanie przetrząśnięte przez złodziei. Włamywacze przeszukiwali głównie jego gabinet, przerzucając papiery z notatkami. Dość dziwne, że choć wszystko zostało ruszone, najwyraźniej nic nie zginęło, nawet biżuteria Caitlin z nie zamkniętej szkatułki w sypialni. Wiele jeszcze innych rzeczy dawało do myślenia, przy tym Jack odniósł wrażenie, że Caitlin kilkakrotnie zamierzała coś mu powiedzieć. Miał poczucie, że dziewczyna wie, kto stoi za tym włamaniem.

W nocy, w łóżku, powiedziała Jackowi, że chce wracać do Dublina.

– Jeszcze nie skończyłem tutaj pracy.

– Będzie trzeba ją wziąć ze sobą – odparła. – Muszę wracać do Dublina, żeby zdążyć na swoje zajęcia. Możesz poprosić o przesłanie mikrofilmów. Ja za to zapłacę. I... – przerwała biorąc go za rękę. – Jest jeszcze coś. Spodziewam się dziecka.

2

Dublin, 18 czerwca 1988

List przyszedł pierwszą pocztą w poniedziałkowy poranek. Był trzeci w pliku siedmiu listów, tuż za prośbą o mikrofilm i zaproszeniem na coś, co zapowiadało się na nudne przyjęcie w Trinity College. Od koperty wprost biło bogactwem – gruby papier, dyskretny nagłówek, nawet zamaszystość podpisu świadczyła o niezwykłości przesyłki. Nie znał nazwy domu wymienionego w nagłówku – Summerlawn.

Również stempel pocztowy nie był mu znany: Dun on Séad. Musiał spojrzeć na mapę. Okazało się, że to mała wioska rybacka Baltimore znajdująca się na południowy zachód od Cork. Któż jednak z Baltimore miałby jakiś interes do niego lub do tutejszej biblioteki? I kto w wiosce rybackiej może sobie pozwolić na taki papier?

Odpowiedź brzmiała: Rosewicz, Stefan Rosewicz. Nazwisko to nic Jackowi nie mówiło. Któż to taki? Polak? Czech? Nie miał pojęcia. Jedno było pewne, że nigdy nie słyszał o takim mieszkającym w Irlandii właścicielu kolekcji bezcennych manuskryptów hebrajskich i aramejskich. A jednak z listu Rosewicza wynikało jasno i wyraźnie – posiadał mały, lecz cenny zbiór rękopisów wymagających przy katalogowaniu i zabezpieczaniu ręki eksperta. Czy doktor Gould byłby zainteresowany takim zajęciem? Praca nie powinna okazać się ciężka, czas ich nie nagli, a wynagrodzenie będzie wysokie. Bardzo wysokie.

Jack powoli podniósł list do góry. Na jednym z palców ręki miał gładką obrączkę ze szczerzego złota. Palce drugiej regularnie zginał i prostował. Zaciskał pięść i rozluźniał. Gdy rozluźnił dłoń po raz ostatni, zaczął odruchowo głaskać papier niczym skórę.

Na jakiś czas zamarł w bezruchu. Nie wypuszczał listu. Wiedział, że znalazł się u progu czegoś niezwykłego, czegoś, co od tego letniego poniedziałkowego poranku zmieni jego szare życie pędzone dotąd w czterech ścianach gabinetu wypełnionego po brzegi półkami pełnymi książek. Na coś takiego czekał od dawna, może całe życie. Nie miał pojęcia ani na jak długo, ani z jakich powodów, ale był pewien, że jego życie się zmieni.

Od dwóch lat pełnił funkcję zastępcy kustosa działu rękopisów biblijnych w prestiżowej dublińskiej bibliotece im. Chestera Beatty przy ulicy Shrewsbury. Był współodpowiedzialny za jedną z najznakomitszych w świecie kolekcji papirusów staro- i nowotestamentowych, kolekcję dorównującą rangą tym z Biblioteki Watykańskiej i British Museum, lecz mało znaną poza kręgami specjalistów. Londyn posiadał „Codex Sinaiticus” i „Codex Alexandrinus”, Rzym wczesny „Codex Vaticanus”, Dublin za to mógł się pochlubić rękopisami znanymi przeważnie pod nazwą „Papirusów Chestera Beatty”. Był to zbiór fragmentów biblijnych znalezionych w starożytnej osadzie Aphroditopolis w Egipcie pomiędzy rokiem 1928 i 1930, i rok później zakupionych przez samego Chestera Beatty’ego. Wokół nich rozrosła się z czasem cała biblioteka.

Podniósł słuchawkę telefonu i wystukał krótki numer z nagłówka listu. Po paru sygnałach usłyszał głos starszej kobiety z wyraźnym akcentem irlandzkim.

– Summerlawn. Czym mogę służyć?

Gospodyni domowa, pomyślał. W tle słyszał muzykę. Wiolonczela w duecie z klawikordem. Natychmiast rozpoznał utwór – to adagio z sonaty g-moll Bacha. Z płyty? A może w Summerlawn mieszkają muzycy?

– Chciałbym rozmawiać z panem Rosewiczem. Czy zastałem go?

– Zechce pan podać swoje nazwisko, sir.

– Proszę mu powiedzieć, że dzwoni doktor Gould z Biblioteki imienia Chestera Beatty.

Usłyszał, że gospodyni kładzie słuchawkę na stole, a potem dobiegły go jej kroki. Chwilę później muzyka urwała się w pół taktu. I znów kroki – tym razem męskie, nieśpieszne, zdecydowane, najpierw na kamiennej posadzce, a potem na dywanie.

– Rosewicz. Czym mogę służyć?

Rosewicz. Zabrzmiało jak nazwa krainy z opowieści średniowiecznych kartografów gromadzących legendy o nieznanym ziemiach. Akcent wyraźnie wschodnioeuropejski.

– Napisał pan do mnie list, panie Rosewicz. Nazywam się Gould. Jestem z Chester Beatty.

– Wielkie nieba, co za niemądra kobieta. Powiedziała mi, że dzwoni lekarz z Westmeath. Tego już za wiele. Każę jej kupić aparat słuchowy. – Chwilowa pauza. – Proszę mi wybaczyć, doktorze Gould. Nadzwyczaj to uprzejmie z pana strony, że zechciał pan zadzwonić tak szybko. Czytał pan mój list?

– Tak. Przyszedł dziś rano.

– No i jaką podjął pan decyzję?

– Nie miałem jeszcze czasu zastanowić się nad tym. Dzwonię, żeby zadać kilka pytań.

– Pytań? Ależ tak, oczywiście. Co chciałby pan wiedzieć?

Znów zaczęła grać muzyka, lecz tym razem była to sama wiolonczela, bez akompaniamentu. Oprócz tego dało się słyszeć jeszcze jeden dźwięk. Szum morza, czy tylko tak mu się wydało? Gdzie dokładnie leży Summerlawn?

Jack zadawał po kolei pytania, jakby chciał za ich pomocą odsunąć od siebie Rosewicza razem z jego kuszącą propozycją. Ta cała tajemniczość, tu w środku kraju wyglądała niezbyt realnie. Poza tym, nie jest wykluczone, że właściciel może przezenia zbiór, który najpewniej nie jest szczególnie godny uwagi. Zapewne kilka drobnych pozabawionych piękna i wdzięku, parę fragmentów zakupionych na publicznych wyprzedażach, w każdym razie nic, co by mogło wywołać przyspieszone bicie serca.

Jednakże Rosewicz sprawiał wrażenie osoby poważnej i wykształconej. Wyjaśnił, że jego umiejętności nie są wystarczające, toteż potrzebuje eksperta – kogoś, kto mógłby zaprowadzić porządek w jego kolekcji. Twierdził, że posiada ponad trzysta manuskryptów, część średniowiecznych, kilka trochę wcześniejszych, między innymi fragmenty dokumentów z genizy Kairskiej i materiały z Nag Hamma-

di. Zainteresowanie Jacka wzrosło. Wyglądało na to, że Rosewicz to nie zwykły amator.

Teraz Jack zastanawiał się tylko, jak wyrwać się z biblioteki. No cóż, pracę tę można by potraktować jako poszukiwanie materiałów.

– Jest tylko jedna sprawa – rzekł Rosewicz. – Staram się nie upubliczniać swoich zbiorów. Nie udzielam wywiadów i nie pozwalam nikomu z zewnątrz na swobodny dostęp do moich materiałów. Jeśli zdecyduje się pan przyjechać, musi mi pan przyrzec milczenie. Czy jest pan w stanie przyjąć taki warunek?

– Zastanowię się nad tym.

– To bardzo ważne. W przeciwnym razie nie będzie pan mógł tu pracować.

Rosewicz zaproponował Jackowi przyjazd na weekend. Wtedy pokaże mu swą bibliotekę i przedstawi problemy, z jakimi się boryka. Jack wyraził zgodę. Gdy Rosewicz odkładał słuchawkę, w tle słychać było śmiech kobiety i odległe ujadanie psa.

Jeszcze tego samego ranka Jack umówił się na kawę z Moirą Kennedy – kustoszem Działu Zachodnich Rękopisów i swoją bezpośrednią przełożoną. W jej gabinecie było chłodniej niż u niego, ponieważ miała dużo kwiatów doniczkowych. Za oknem widać było pierwszych tego dnia turystów przybywających obejrzeć wystawę perskich miniatur.

– Słyszałaś kiedyś o jakimś Rosewiczu? – zapytał. – Mieszka w Baltimore koło Cork. Sądząc po dźwiękach w słuchawce, w bardzo dużym domu.

Zmarszczyła brwi i skinęła głową.

– Tak, już słyszałam kiedyś to nazwisko. A co?

– Chce, żebym mu skatalogował manuskrypty. Jak to możliwe, że nigdy o nim nie słyszałam?

Wzruszyła ramionami, ale Jack zauważył, że na chwilę odwróciła wzrok, jakby poczuła się zakłopotana lub jakby zrobiło jej się przykro.

– Od czasu do czasu jego nazwisko wypływa na powierzchnię. W końcu i ty byś je usłyszał.

– Mówisz tak, jakby kryła się w tym jakaś tajemnica.

– Tajemnica? Nie, nic z tych rzeczy. Niemniej Rosewicz trzyma wszystko u siebie zamknięte. To niezwykle przywilej, że chce ci pokazać swoje zbiory.

– A więc słyszałaś też o jego kolekcji?

– Tylko tyle, że ją ma. To akurat wiedzą prawie wszyscy. Wszyscy, którym to powiedział. Wiadomo o kilku rzeczach znajdujących się w jego rękach, ale te informacje to tylko przecieki z aukcji. Na przykład ma parę manuskryptów z Qumran. Przeważnie jednak kupuje na czarnym rynku. Dobrze poinformowani powiadają, że ma pisma, na które wszyscy chcielibyśmy popatrzeć.

– No to dlaczego...?

– Dlaczego zaprasza kogoś takiego jak ty? – Znow wzruszyła ramionami. – Nie mam pojęcia. Widocznie kogoś potrzebuje. Kogoś, komu mógłby zaufać.

– Poznałaś go kiedyś?

Wydawało mu się, że Moira zaraz się roześmieje. Ona jednak wygięła tylko usta w lekkim, niezbyt przyjaznym uśmiechu. Domyślał się, że miała jakieś czterdzieści

pięć, sześć lat. Pracowali ze sobą już siedem lat, odkąd tylko obronił doktorat, ale nadal nic o niej nie wiedział. Ani ona o nim.

– Nikt z moich znajomych nigdy nie poznał Rosewicza. Ty będziesz pierwszy. Wykorzystaj to jak najlepiej.

– Jak to możliwe? Mówiłaś przecież, że chodzi na aukcje.

Pokręciła głową. Miała siwiejące włosy upięte z tyłu w duży kok, na nosie okulary w grubej oprawce. Czy ktoś ją kocha? Czy jest ktoś, przed kim rozpuszcza włosy? Zaskoczyło go samego, że tego nie wie i... wiedzieć nie chce.

– Nie przychodzi osobiście – powiedziała. – Przysyła pośredników. Mówiłam ci, że to skryty, tajemniczy człowiek. Tak mi się wydaje.

– Ma rodzinę?

– Skąd mam wiedzieć?

– Kogoś w tle tam słyszałem. Kobietę.

– Może żona albo kochanka. Kto wie?

– A dom? Od jak dawna tam mieszka?

– Zdaje się, że już długo. Urodził się we Wschodniej Europie. W Polsce albo Czechosłowacji. Przyjechał tutaj w latach czterdziestych lub pięćdziesiątych. To uchodźca.

– Skąd polski uchodźca może mieć tyle pieniędzy?

– Chyba arystokrata. Sam się dowiesz, jak pojedziesz. Domyślam się, że przyszedłeś poprosić o pozwolenie na wyjazd.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko?

– Hm, właściwie to mam. W październiku otwieramy wystawę „Diatessaron”. Potrzebuję kogoś do przejrzenia zbioru tych papirusów, które w zeszłym miesiącu nadeszły ze Wschodniego Berlina. Dużo z tym roboty, a sama nie dam rady.

– Potraktujesz to jako poszukiwanie materiałów.

Zawahała się. W Trinity nie sprawi jej problemu znalezienie człowieka do rutynowych prac przy wystawie. Natomiast wysłanie kogoś do obejrzenia kolekcji Rosewicza było zbyt dobrą okazją, żeby ją przepuścić. Gould mógłby odegrać rolę jej wywiadowcy.

– To coś pomoże? – zapytała.

Wiedział, o co jej chodzi, choć na ten temat żadne z nich nigdy nie wspominało.

– Chyba tak. – Skinął głową. – Nie wyjeżdżałem od...

– No dobrze, ale będę chciała wiedzieć wszystko. Zostanie to tylko między nami. Rozumiemy się?

Tego wieczoru w całej Irlandii była słoneczna pogoda. Po raz pierwszy od dobrego roku Jack Gould wyszedł ze swego mieszkania w Ballsbridge, żeby udać się na spacer. Niczym dziecko przed długo zapowiadany wakacjami nie mógł się doczekać weekendu. Próbował przemówić sobie do rozsądku, wysuwając argumenty, że lato spędzone w jakiejś bibliotece niczego nie zmieni, że na jesień wróci jak zwykle do Dublina. W głębi duszy jednak cichutki głosik podpowiadał mu co innego. Spacerował zamyślony przez oświetlone zachodzącym słońcem St Stephen's Green, w dół ulicą Grafton aż do Trinity College. Dziwił się, że miejsca, któ-

re oglądał, nie zmieniły się od czasu, kiedy był tu po raz ostatni. W Green rosły kwiaty – białe kwiaty koloru sukienek do pierwszej komunii. Przechodząc szybkim krokiem obok młodych matek z dziećmi, obok rozbawionych rodzin, powstrzymywał się od płaczu. Myślał też o wiołonczeli oraz o domu, którego nigdy nie widział. Wyobrażał sobie stromy brzeg i głębokie wody morza, a także siebie za okienną szybą rozgrzaną od letniego słońca.

3

Sprawdził Summerlawn w irlandzkiej części „Przewodnika Burke’a po siedzibach wiejskich”. Dom został zbudowany w połowie XVIII wieku przez mieszkającą w Cork gałąź rodziny Fitzgeraldów obok domu z wieżą O’Driscollów, a potem wielokrotnie podupadał i był odrestaurowywany. W 1919 roku część domu została spalona przez oddział Black and Tans¹, a potem przez trzy lata atakowały go obie strony wojny domowej. Jednak, w przeciwieństwie do wielu innych jemu podobnych, przetrwał. Po ogłoszeniu Republiki Fitzgeraldowie pozostali w nim, lecz wkrótce wyczerpały się ich pieniądze i upór – ze stróżów tradycji stali się intruzami na ojczystej ziemi. Sprzedali dom Amerykaninowi Kelly’emu, który co prawda przyznawał się do irlandzkiego pochodzenia, ale jednocześnie nie miał do Irlandii serca ani cierpliwości. Po kilku latach dom nabył Rosewicz. Był rok 1947. Dziesięć lat przed urodzeniem się Jacka.

Gdy odkładał na półkę tom Burke’a, potrafił drugą książkę, która upadła na podłogę. Ostrożnie podniósł ją. Tytuł brzmiał „Gdzie panuje dzicz”, a nazwisko autora – Maurice Sendak. Był to egzemplarz należący do Siobhan – czytał jej tę książkę co wieczór. Miał takie uczucie, jakby działo się to przed wiekami. A może przed chwilą.

Usiadł i, starając się nie myśleć, otworzył książkę, zapominając, jak niebezpieczne mogą być wspomnienia. Ze środka coś wypadło. Wyrwana z zeszytu kartka zamalowana kredkami. Na rysunku z trudem dawało się rozpoznać kota. Kotek nazywał się Brian. Rysunek podpisany był dziecięcymi gryzmołami: UKOCHANEMU TATUSIOWI, SIOBHAN. Miała wtedy cztery latka. Zgniółł w palcach kartkę, ledwie ją widząc przez łzy.

– Było, minęło – powtarzał to sobie każdego ranka. Wiedział jednak, że to nieprawda. Przeszłość pozostaje w nas na zawsze, budzi się w nas bez ostrzeżenia na widok dziecięcego rysunku albo zapomnianej fotografii. Nie opuszcza nas nawet wtedy, kiedy zasypiamy. Z niej powstają nasze marzenia.

Do przeszłości należała kafejka w Paryżu, okno z widokiem na nierówne dachy, pogniecione prześcieradła, ciało nagiej kobiety przeglądającej się w lustrze. Także bezkres morza u końca jesieni, mewy, kobieca dłoń w jego dłoni, Dublin taki, jakiego przedtem nie widział, zachód słońca zamiast zwykłej szarówki, codzienne spacery po Green, weekendy w górach Wicklow, zachody słońca i trawy, zimowy śnieg, dobiegający z sąsiedniego pokoju głos Caitlin, dziecięcy śmiech, trzaskanie drzwi w odległym końcu domu.

Siedział bez ruchu z twarzą schowaną w dłoniach tak długo, jakby miał pozostać w tej pozie na zawsze.

Jedna ze scen powracała z niepokojącą regularnością. Bez przerwy odtwarzała się jak taśma, której nie można skasować. Jest na ukwieconej łące. Wieje lekki wietrzyk. Czuje na twarzy ciepło promieni słonecznych. Na niebie krąży mnóstwo

1 Nazwa brytyjskich oddziałów, wysłanych do Irlandii w celu stłumienia rebelii Sinn Féin [przyj. red.].

ptaków. On siedzi na kocu, a obok niego leżą resztki po pikniku. Siobhan bawi się czerwoną piłką. Rzuca ją do Caitlin, która łapie ją i odrzuca z powrotem. Siobhan ma sześć lat i staje się coraz bardziej zręczna. Gdy upuszcza piłkę, śmieje się i biegnie za nią. On siedzi i obserwuje. Wszędzie dookoła krążą ptaki. Białe ptaki. Czują na twarzy i na ramionach słońce. Piłka odbija się, chwyt, rzut i wraca. Jack kładzie się na plecach i wbija wzrok w niebo. W zasięgu wzroku nie ma ani jednej chmurki. Z pewnej odległości dolatuje go szum morza oraz wrzaski mew. Nagle słyszy krzyk. To Caitlin. On podnosi się i widzi Siobhan biegnącą za piłką. Caitlin biegnie za nią. Dziewczynka nie usłyszała albo nie posłuchała. Caitlin za mocno rzuciła piłkę. Sturlała się po zboczu. Zbocze kończy się urwiskiem. Jak w zwolnionym tempie widzi Siobhan dobiegającą do skraju przepaści. Widać wirującą biel nurkującego ptaka. Caitlin łapie dziewczynkę, a ptak nurkuje z krzykiem. Jack wstaje i widzi, jak się przewracają. Nagły błysk koloru, a potem już nic, tylko mewy.

Wiedział, że to nie wydarzyło się w ten sposób, lecz taka właśnie sekwencja następujących po sobie obrazów zawsze go nawiedzała.

Po powrocie z Paryża udało im się znaleźć mieszkanie w Ballsbridge, niedaleko Chester Beatty, gdzie już wtedy był pomocnikiem w dziale katalogów. Mieli niewiele pieniędzy, lecz od czasu do czasu Caitlin wyciągała niewielką sumkę ze swych – otrzymanych w spadku – dziesięciu tysięcy funtów. Wzięła sobie urlop dziekański, żeby wrócić i dokończyć studia, kiedy Siobhan, ich córka, będzie miała roczek. Tego roku Jack obronił doktorat i został zatrudniony w bibliotece na pełnym etacie. Z niewielką pomocą jego matki udawało im się jakoś zajmować Siobhan.

Nigdy nie czuł się znudzony twarzą ani ciałem Caitlin, nigdy nie żałował czasu na przebywanie z Siobhan, nigdy nie było mu szkoda życia, które wiódł przed tamtym latem w Paryżu. A teraz siedział w samotności, trzymając na kolanach dziecięcą książeczkę, i zmagał się z własną przeszłością.

Usłyszał dzwonek. Poczuł odrętwienie. W końcu odłożył książkę na bok i wstał. Dzwonek odezwał się po raz drugi, ale Jackowi się nie śpieszyło. Otworzył drzwi i zobaczył przed sobą policjanta.

– Doktor Gould?

Poczuł słabość w nogach.

– Mam dla pana złe wieści. Mogę wejść?

Przybysz mówił łagodnym głosem, ale Jackowi wydawało się, że głos ten odbija się echem świdrującym mu uszy. Oparł się o framugę.

– Nic panu nie jest, sir? – zapytał przedstawiciel prawa.

Jack pokręcił głową i starał się stać prosto. Zbierało mu się na wymioty i czuł zawroty głowy, pragnął, by ktoś go podtrzymał, zanim zacznie wymiotować.

– Nic mi nie jest – mruknął, rozglądając się. – Nic mi nie jest.

Korytarz był pusty. Nikogo nie było. Nikogo z wyjątkiem jego samego i jego wspomnień.

Przeszłość pozostaje w nas na zawsze.